

## ROZMOWA TRZECIA

- Mówimy o członkostwie Polski w NATO i w obu Uniach europejskich. Instytucje te nie istnieją jednakże w próżni, gdyż należą do nich określone kraje zachodnie.

**Jaki jest naprawdę stosunek tych krajów do Polski?**

- Istotnie, w NATO i w obu Uniach europejskich znajduje się większość krajów zachodnich, a spośród nich większość należy jednocześnie do wszystkich trzech instytucji. I słusznie mówi Pan, że instytucje te nie istnieją w próżni, gdyż liczą się w nich poszczególne kraje członkowskie, a nie organy tych instytucji. W przypadku NATO na przykład, decydujący głos należy do USA, a nie do jego Sekretarza Generalnego, którym obecnie jest Hiszpan.

W przypadku Unii Europejskiej z kolei, głos decydujący mają cztery kraje: Niemcy, Francja, Anglia i Włochy, a nie Komisja z jej luksemburskim Przewodniczącym.

W każdym razie, dla Polski NATO wygląda na jednolitą instytucję, ale rzeczywistość jest inna. W jego tonie bowiem krzyżują się nie zawsze zgodne, a często wręcz sprzeczne interesy. Tak na przykład, ostatnie spory francusko-amerykańskie grożą poważnymi konsekwencjami dla spójności NATO.

**- Co to za spory i czy mogą one mieć jakiś wpływ na członkostwo Polski w NATO?**

- Spór francusko-amerykański może mieć wpływ na członkostwo Polski w NATO z tego prostego powodu, że Francja twierdzi, o czym już mówiliśmy w poprzedniej rozmowie, iż bez reformy NATO jego rozszerzenie na wschód jest bez sensu. W tej sytuacji jej sprzeciw wobec polskiego członkostwa w Sojuszu może uczynić go nieaktualnym na całe lata, jeśli nie na zawsze.

A co się tyczy konkretnego przedmiotu sporu, to chodzi tutaj o rozdział stanowisk dowódczych w NATO. Dowództwo bowiem nad całością sił NATO, jak też sił NATO w Europie, sprawują Amerykanie. W samej Europie jednakże, są trzy dowództwa regionalne, z tego dwa są w rękach europejskich, a trzecie, w Neapolu, obejmujące strefę Morza Śródziemnego, jest tradycyjnie obsadzone admirałem amerykańskim. Francuzi, którzy prawie już powrócili do „struktury wojskowej” NATO, po wspomnianym opuszczeniu jej w 1966 r., jak też Hiszpanie, mający zamiar do niej wejść, chcą na tym stanowisku Europejczyka, czemu z kolei

oponują USA. Francuzów i Hiszpanów popierają Niemcy. Spór zaostrza się i grozi kryzysem w NATO, podkopując przy okazji stworzenie autonomicznych sił europejskich w jego tonie, którymi ma zająć się z kolei Unia Zachodnioeuropejska.

**- Czy to wszystkie powody sporów?**

- Nie, nie wszystkie. Inny powód to rosnąca rozpiętość pomiędzy siłami zbrojnymi USA i siłami europejskich krajów NATO. Bez USA te ostatnie liczą się coraz mniej, ale głos chcą mieć coraz większy.

Co więcej, o czym na ogół nie mówi się, Amerykanie mają chyba jakieś plany, z NATO, lub nie, uczynić z b. Jugosławii, Albanii, Bułgarii, Rumunii, a może nawet Grecji, Turcji, Izraela, Egiptu, Jordanii, Tunezji i Maroka blok krajów pod swoim przywództwem, który byłby przeciwwą zarówno dla b. ZSRR, jak też Unii Europejskiej. Jeśli to istotnie jest prawdą, to należy spodziewać się głębokiego kryzysu w NATO.

**- Ciekawe to wszystko, ale proponuję przejść do stosunków Polski z głównymi krajami zachodnimi, które mają decydujący głos w sprawach przystąpienia jej do wszystkich trzech wspomnianych instytucji.**

**Zacznijmy od USA, kraju decydującego w odniesieniu do członkostwa Polski w NATO.**

- Dobrze, ale zacznijmy od sprawy podstawowej. Członkostwo Polski we wszystkich trzech instytucjach, szczególnie w NATO, to przede wszystkim „zmiana jej adresu”. Polska bowiem, przystępując do tych instytucji, wyrwa się formalnie i faktycznie spod dominacji moskiewskiej, przechodząc jednakże, powiedzmy to bez ogródek, pod dominację zachodnią, głównie amerykańską. Nie wchodząc w szczegóły co do różnic pomiędzy obu dominacjami, faktem jest, że kraje zachodnie, USA w pierwszym rzędzie, muszą mieć jakiś interes własny w przygarnięciu Polski do swego łona, jak też być gotowe na związane z tym ryzyko. Ryzyko takie, rzecz jasna, największe jest w przypadku USA, filaru NATO, a nie na przykład Islandii, która nie ma nawet własnych sił zbrojnych.

**- Co to za ryzyko?**

- Ryzyko dla USA jest ogromne. Moskwa, broniąc swojego stanu posiadania, pomijając już Polskę, którą może zaatakować w każdej chwili, podobnie może uczynić z USA. Stąd też, przystępując do NATO, Polska musiałaby mieć jak najlepsze dwustronne stosunki z USA i nie tylko po to, żeby patrzyły one przychylnym okiem na polskie członkostwo w Sojuszu, ale żeby jeszcze chciały ją bronić w razie potrzeby. Nie NATO jako całość

liczy się bowiem w tym wypadku, a liczą się przede wszystkim USA.

Zresztą, w przypadku stosunków polsko-amerykańskich nie chodzi jedynie o polskie członkostwo w NATO. Jeśli bowiem, o czym mówiliśmy w poprzedniej rozmowie, Polska nie dostanie się do NATO, to najprawdopodobniej nie dostanie się także do obu Unii europejskich.

Stosunki polsko-amerykańskie są więc decydujące dla stosunków Polska-Zachód w ogóle, choć z drugiej strony, ze względu na sąsiedztwo i poziom współpracy gospodarczej, głównym reprezentantem Zachodu dla Polski są Niemcy.

**- Wobec tego skoncentrujmy naszą uwagę na stosunkach Polski z tymi dwoma krajami, a o innych krajach wspominajmy tylko sporadycznie.**

- A więc, co się tyczy stosunków polsko-amerykańskich, zdecydowanie najważniejszych w polskich wysiłkach dołączenia do Zachodu, jeśli tylko szczerych, to musimy cofnąć się daleko wstecz. Przypomnijmy, że w momencie pojawienia się USA na mapach świata, I Rzeczpospolita była z nich akurat wymazywana. Stąd nie było nawet czasu na ustanowienie jakich usystematyzowanych stosunków polsko-amerykańskich, choć Tadeusz Kościuszko i Kazimierz Pułaski pośpieszyli bronić młodej niepodległości amerykańskiej. USA nie zrewanżowały się, gdyż kraj stawał dopiero na nogi, terytorialnie był mniejszy od Polski, a ludnościowo nawet ponad 3-krotnie mniejszy.

Potem, po upadku I Rzeczypospolitej, USA sprawami polskimi nie interesowały się, choć imigranci polscy, od drugiej połowy ubiegłego wieku, stali się tam liczną grupą etniczną. Polonia amerykańska była jednakże od początku słaba ekonomicznie i politycznie, co utrudniło jej zainteresowanie władz i opinii publicznej sprawami polskimi. Radykalną poprawa nastąpiła dopiero po zjawieniu się w USA Ignacego Paderewskiego w 1913 r., który zaprzyjaźnił się z płk Edwardem M. House'm, prawą ręką prezydenta Woodrow Wilsona.

Paderewski znalazł w Wilsonie, politologu i historyku, człowieku prawym i przejętym losem małych i średnich narodów, „chętne ucho” do spraw polskich, co jakżeż bardzo przyczyniło się do odzyskania przez Polskę niepodległości. Wiemy też jak decydujące znaczenie miało wejście USA do wojny po stronie Ententy oraz jak wielką rolę w sprawach polskich odegrał słynny „punkt 13” Wilsona, mówiący o niepodległej Polsce z dostępem do morza, a nade wszystko jego osobisty udział w Konferencji

Pokojowej w Paryżu w 1919 r. Bez tego udziału i materialnej pomocy USA dla Polski jej młoda niepodległość byłaby problematyczna.

Niestety, po odejściu Wilsona i przejściu USA do izolacjonizmu, dobrze zapowiadające się stosunki polsko-amerykańskie stały się chłodne.

**- W całym okresie międzywojennym nie było nawet oficjalnych wizyt państwowych na wyższym szczeblu...**

- No właśnie, wizyta polskiego ministra spraw zagranicznych Aleksandra Skrzyńskiego w 1925 r., jedyna tego rodzaju wizyta w dwudziestolecu, miała prywatny, a nie oficjalny charakter. Władze USA bowiem tak właśnie tego chciały.

Oczywiście, była „dillonowska pożyczka”, o wiele skromniejsza i na gorszych warunkach od oczekiwanych w Polsce, ale wzajemne stosunki były żadne w porównaniu ze stosunkami USA z Niemcami, zanim Hitler doszedł do władzy. Ponadto, stosunki dyplomatyczne były tylko na szczeblu posłów, a nie ambasadorów. W pewnym okresie czasu USA uważały nawet Polskę za „groźną dla pokoju”, ze względu na jej nieustępliwość w sprawie niemieckich roszczeń terytorialnych, nie mówiąc już o tym, że żydowsko-niemiecko-amerykańska rodzina bankierska Warburgów lansowała wówczas „sprawę Korytarza”... USA uważały też, że Polska zbyt okroiła terytorialnie bolszewicką Rosję, itd., itp.

**- Tak, to wszystko brzmi wręcz nieprawdopodobnie. Ale skąd brał się ten niechętny stosunek USA do Polski?**

- Przyczyn było wiele. Jedną z nich były rzekome pogromy Żydów w Polsce. Co prawda dowodów na to nie znaleziono, ale ciągle o tym pisano i mówiono. Nie zapominajmy też, że w czasie wojny polsko-bolszewickiej koła żydowskie, z których część była wtedy silnie skomunizowana, organizowały masowe wiece antypolskie. Niechętny stosunek do Polski mieli też amerykańscy Niemcy, wówczas najliczniejsza mniejszość etniczna w USA, jak i inna bardzo wpływowa mniejszość etniczna — irlandzka, tradycyjnie proniemiecka.

**- W czasie II wojny światowej było jeszcze gorzej...**

- Tak, oczywiście. Zanim USA przystąpiły do wojny, a zwłaszcza do wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, chyba większość grup etnicznych w USA była antypolska. Do wymienionych już powyżej doszła bowiem jeszcze mniejszość włoska, jak też większość wschodnio-europejskich mniejszości.

Potem było lepiej, ale też nie za dobrze. Prezydent Roosevelt ponadto, nie tak jak Wilson, był niechętny krajom średnim i małym,

a ze względu na jego szczególnie ciepły stosunek do Stalina, faktycznie nie interesował się sprawami polskimi, cedując je na Churchilla.

**- Który też był nie lepszy, jak wiemy.**

- No właśnie, a poza tym najłabszy w Wielkiej Trójce. W każdym razie, poza deklaracjami słownymi, Roosevelt był Polsce niechętny, a jego pojałtańskie wystąpienie w Kongresie w dniu 1 marca 1945 r. było wręcz antypolskie. Wcześniej jeszcze, w 1943 r., Roosevelt niepotrzebnie zorganizował znaną misję Langego-Orlemańskiego do ZSRR, jako niby przedstawiciele amerykańskiej Polonii, choć nie mieli oni nic z nią wspólnego.

**- Tak, tak, pamiętamy, ale przejdźmy do powojennych stosunków polsko-amerykańskich, a raczej stosunków pomiędzy USA i PRL.**

- Stosunki polsko-amerykańskie po II wojnie światowej przeszły jakościową zmianę. W okresie międzywojennym mogły być chłodne, ale nie były wrogie. Po II wojnie światowej jednakże były one formalnie wrogie, ze względu na przynależność obu państw do przeciwstawnych sobie systemów i bloków wojskowych.

Prawda, w praktyce wrogość ta była znacznie stonowana, zwłaszcza po 1956 r., choć pewne jej oznaki powróciły po „stanie wojennym”, ale nie ulega wątpliwości, że potencjalnie były to stosunki wrogie. „Cicha wojna” trwała bowiem pomiędzy obu krajami na całego.

**- USA w pewnym okresie czasu mówiły nawet o wyzwoleniu „narodów ujarzmionych”, czyli jakby o „gorącej wojnie”...**

- Tak, mówiły, a na początku „zimnej wojny” próbowały nawet, łącznie z Anglią i niektórymi odłamami emigracji polskiej, podejmować jakieś akcje dywersyjne na terenie PRL. Próby te, znane jako „afery Bergu”, choć było ich więcej, spaliły na panewce. Wywiad peerelowski i sowiecki „rozgryził” te próby, ale dajmy już spokój szczegółom i przejdźmy do innych spraw.

Stosunki dyplomatyczne USA-PRL datują się od lipca 1945 r., podniesione do szczebla ambasadorskiego. Gospodarze z kolei zaczęły się całkiem nieźle rozwijać, choć był to początkowo ruch tylko jednostronny, polegający na pomocy amerykańskiej, głównie w ramach tzw. demobilu, a potem UNRRA, co miało olbrzymie znaczenie dla zbiedniałej ludności polskiej. Niestety, potem przyszła „zimna wojna”, USA odebrały PRL klauzulę największego uprzywilejowania, a PRL z kolei wymówiła USA jeszcze przedwojenny układ handlowy. Osiągnięto więc przysto-

wiowe dno we wzajemnych stosunkach. PRL, jak wiadomo, nie została też objęta Planem Marshalla.

Oдноśnie stosunków politycznych, dużym zgrzytem było wystąpienie Sekretarza Stanu James Byrnesa w Sztutgarcie 6 września 1946 r., gdzie otwarcie zakwestionował nowe polskie granice zachodnio-północne, nie wspominając słowem przy tej okazji o granicach wschodnich. USA co prawda nigdy nie kwestionowały granicy polskiej na Odrze i Nysie Łużyckiej, ale tak to wtedy odebrano i wiadomo już ile narobiło to szkody, przede wszystkim mikołajczykowskiemu PSL.

**- Potem jednakże przyszła poprawa wzajemnych stosunków.**

- Przyszła, od tzw. wydarzeń październikowych 1956 r. Wtedy też doszło do niecodziennego wydarzenia. PRL mianowicie, znajdując się w ciężkiej sytuacji gospodarczej, chciała kupić zboże amerykańskie na warunkach kredytowych, co było niemożliwe ze względu na istniejące wówczas w USA ograniczenia w stosunku do krajów komunistycznych, nazywanych „wrogimi”, lub „nieprzyjaznymi”. Ówczesny Sekretarz Stanu John Foster Dulles jednakże, dał wręcz karkołomną interpretację istniejących ograniczeń. Powiedział po prostu, że „Polska nie jest krajem nieprzyjaznym”... Nie powiedział, że jest „przyjaznym krajem”, ale to wystarczyło, żeby wobec PRL rozluźnić istniejące ograniczenia stosowane w odniesieniu do całego bloku komunistycznego. Otworzyło to jej drogę do znacznych kredytów w tzw. nadwyżkach rolnych, w Tytule I PL 480, na bardzo korzystnych warunkach, równających się właściwie darowiźnie.

Co więcej, w grudniu 1960 r. USA przywróciły PRL odebraną w 1951 r. KNU, choć nie za darmo, gdyż zgodziła się ona zapłacić 40 milionów dolarów odszkodowania prywatnym właścicielom przedwojennych bondów pożyczkowych dla Polski.

W sumie więc, stosunki USA-PRL uległy olbrzymiej poprawie. Nie tak też jak przed wojną, „rozpruł się worek” z wzajemnymi wizytami, głównie amerykańskimi w PRL. W lipcu 1959 r., czego byłem naoczny świadkiem na lotnisku wojskowym w Boernerowie pod Warszawą, przyleciał do Warszawy wiceprezydent USA Richard Nixon, co było pierwszym tego rodzaju wydarzeniem w historii stosunków polsko-amerykańskich. W maju 1972 r. przybył on do PRL jeszcze raz, tym razem już jako prezydent.

W 1974 r. wizytę w USA złożył z kolei Edward Gierek, którego przyjmowano z honorami głowy państwa, choć formalnie

nią nie był, a w 1975 r. i 1977 r. złożyli wizyty w Warszawie prezydenci Gerald Ford i Jimmy Carter.

Warto też podkreślić, że USA kokietowały w tym czasie PRL w sposób szczególny. Była ona po ZSRR największym i najważniejszym w bloku sowieckim krajem, była też bardziej liberalna od innych, a ten fakt dla amerykańskiej polityki „różnicowania” krajów bloku był najważniejszy.

Jak wiadomo jednak, te względnie dobre stosunki zostały na kilka lat przerwane przez „stan wojenny” w PRL. USA wycofały PRL po raz drugi już po wojnie klauzulę największego uprzywilejowania, jak też nałożyły na nią szereg sankcji, głównie ekonomicznych. Potem jednakże, pod koniec lat 1980-ch, stosunki USA-PRL uległy znów normalizacji. Prezydent Bush, jak pamiętamy, odwiedził PRL w lipcu 1989 r., zapraszając nawet gen. Wojciecha Jaruzelskiego do rewizyty w USA, do czego jednak nie doszło. Jaruzelski bowiem, niemal w ostatniej chwili przed podróżą do USA, zrezygnował z urzędu prezydenckiego.

**- W czasie wspomnianej wizyty Bush, na obiedzie w ambasadzie amerykańskiej, próbował godzić Jaruzelskiego i „konstruktywną opozycję”, czyż nie tak?**

- Tak to na oko istotnie wyglądało, choć prawda była oczywiście inna. Bush nikogo z nikim nie pogodził, gdyż wszystko było już wcześniej „dogadane”, a czy zdawał sobie sprawę z tego — nie wiem.

Potem, już do III RP/PRL-bis, prezydent Bush przybył jeszcze raz, w lipcu 1992 r., a prezydent Lech Wałęsa z kolei złożył w USA wizytę nieco wcześniej, w marcu 1991 r. W lipcu 1994 r. dla odmiany przybył do Warszawy prezydent Clinton, a w lipcu 1996 r. prezydent Aleksander Kwaśniewski złożył aż dwie wizyty w USA, oficjalną i nieoficjalną, tą drugą przy okazji pobytu na Olimpiadzie w Atlancie. W czasie oficjalnej wizyty, odbył nawet, z 40-minutowym opóźnieniem, 30-minutowe rozmowy z prezydentem Clintonem, ale już w Kongresie nie miał uroczystego wystąpienia, które ongiś miał nawet Gierek, rzecz godna uwagi. A w ogóle, to o wizycie Kwaśniewskiego amerykańskie środki masowego przekazu ledwie wspomniały.

**- Czy z tego wynika, że stosunki polsko-amerykańskie są całkowicie znormalizowane, ale niezbyt dobre?**

- Tak na to wygląda. W stosunkach tych brakuje dość istotnego elementu. Chodzi konkretnie o rozmowy na szczeblu szefów resortów spraw zagranicznych. Trzeba bowiem wiedzieć, że wizyty prezydenckie i wiceprezydenckie są co prawda bardzo

ważne, czasem nawet biorą w nich udział także szefowie wspomnianych resortów, ale są to wizyty kurtuazyjne, podczas gdy dla bieżących stosunków ważniejsze są często spotkania szefów dyplomacji. Amerykański Sekretarz Stanu w PRL, a potem IIIIRP/PRL-bis, jest praktycznie osobą nieznaną. Częściej zdarza się natomiast polskiemu ministrowi spraw zagranicznych, że przyjeżdżając na sesję ONZ do Nowego Jorku spotyka się czasem ze swoim amerykańskim odpowiednikiem. Regularnych jednak i częstych spotkań wzajemnych na tym szczeblu nie ma. To samo dotyczy kongresmenów odpowiedzialnych za politykę zagraniczną USA, którzy Polskę omijają.

I jest to, krótko mówiąc, zły omen dla wzajemnych stosunków. Jeśli bowiem USA chcą naprawę członkostwa Polski w NATO, to na co dzień powinny robić wokół niej „szum”, a tu cisza. Mijają tygodnie, a nawet miesiące, bez wzmianki o Polsce, a jeśli już, to z reguły w kontekście jakichś spraw żydowskich. W stosunkach wzajemnych wytworzyła się nawet niezdrowa praktyka, że na równi ze sprawami polsko-amerykańskimi traktowane są sprawy polsko-żydowskie.

**- Zaczął to premier Tadeusz Mazowiecki i teraz trwa to bez końca...**

- Tak, od niego zaczęła się ta dziwna praktyka, ale prezydent Lech Wałęsa podniósł ją na jeszcze wyższy szczebel.

Powracając jednak do faktycznej nieobecności spraw polskich w USA, to świadczy to tylko o tym, że do stosunków z Polską nie przywiązują one większej wagi.

**- Ale nie tak dawno było sporo szumu wokół amerykańsko-polskich stosunków handlowych.**

- Istotnie, trochę szumu było wokół nieprzestrzegania przez Polskę amerykańskich praw autorskich, co groziło nawet poważnymi konsekwencjami, ale skończyło się na niczym. Trzeba jednak pamiętać, że Polska w obrotach handlowych USA stanowi ułamek procentu. Z wielu też innych powodów nie zajmuje w ich polityce handlowej godnego uwagi miejsca. Podobnie zresztą, o czym przed chwilą mówiłem, jest w polityce zagranicznej. Pomijając już szczególne znaczenie, jakie USA przywiązują do stosunków z Rosją i Chinami, bardzo ważne miejsce, głównie ze względów handlowych, zajmuje Japonia. Osobna kategoria stosunków, to stosunki z Niemcami, Anglią, Francją, Kanadą i Meksykiem, a więc krajami dużymi, jak też sąsiednimi, jak w przypadku tych dwóch ostatnich. Z pozostałych krajów USA wyraźnie faworyzują jedynie Izrael, z którym mają stosunki o

specjalnie uprzywilejowanym charakterze. Pochodną tych stosunków są też stosunki USA z Egiptem i ostatnio z Jordanią. Jeszcze inne kraje zajmujące ważne miejsce w amerykańskiej polityce zagranicznej, to Arabia Saudyjska i Turcja. Biorąc zaś pod uwagę regionalną politykę zagraniczną USA, to priorytet ma tutaj zdecydowanie Bliski i Środkowy Wschód, a nie Europa, zwłaszcza Wschodnia, czy inne regiony świata. W Proklamacji prezydenta Clintona z lutego 1996 r. na temat polityki zagranicznej USA, ujętej w 49-stronicowy dokument pod tytułem „A National Security Strategy of Engagement and Enlargement”, wśród trzech jej celów, Polska, która nie jest nawet wymieniona po imieniu, znajduje się w „celu Nr. 3”, ale tylko od strony „wspierania” jej demokracji. Nigdzie nie ma w nim mowy, ani w żadnym innym podobnej wagi dokumencie, że sprawy polskiego bezpieczeństwa zewnętrznego, czy dobrobytu, jak to ma miejsce w przypadku Izraela, stanowią jakiegokolwiek miejsce w polityce zagranicznej USA.

**- Czy wobec tego sądzi Pan, że USA poszłyby na wojnę w obronie Polski?**

- Nie poszłyby z całą pewnością, gdyż według wszelkiego prawdopodobieństwa byłaby to wojna nuklearna z Rosją. USA, podobnie jak każdy inny kraj w świecie, pójdą na wojnę tylko wtedy, jeśli same będą zagrożone w swoim istnieniu, albo zagrożeni będą ich sojusznicy, choć to drugie jest już mniej pewne.

Polska, jak wiadomo, nie ma z USA sojuszniczych stosunków, ani dwustronnych, ani wielostronnych, jak na przykład mogłoby to być w przypadku jej członkostwa w NATO.

Nic też nie wskazuje na to, że kiedykolwiek mieć będzie dwustronne stosunki sojusznicze z USA, albo że udzieli one jednostronnie gwarancji bezpieczeństwa zewnętrznego Polsce. Na ten temat nawet nie mówi się, ani oficjalnie, ani nieoficjalnie, a coś takiego przecież samo z nieba nie spadnie...

**- Czyli pozostają tylko wielostronne gwarancje bezpieczeństwa zewnętrznego Polski via NATO, czy tak mam to rozumieć?**

- Tak jest, tylko via NATO, przy założeniu oczywiście, że w ramach NATO gwarancje te nie będą obwarowane jakimiś klauzulami wyjątkowymi, no i że sojusznicy Polski, USA głównie, wywiążą się ze swoich zobowiązań umownych.

**- Pan sądzi, że mogą nie wywiązać się?**

- Proszę Pana, nikt w USA, ani prezydent, ani Kongres, ani nikt inny, może poza ośrodkami polonijnymi, które przecież nie mają tu nic do powiedzenia, nigdy i nigdzie nie powiedział, że w

interesie Amerykanów leży umiaranie za Polskę. Nie ma nawet żadnej dyskusji na ten temat, nie mówiąc już o jakichkolwiek decyzjach w tak żywotnej dla USA sprawie.

W takiej sytuacji, zakładając polskie członkostwo w NATO, jak też pełne stosowanie wobec niej Artykułu 5 Traktatu Waszyngtońskiego, atak na Polskę, z użyciem broni nuklearnej, stawia USA dosłownie przed hamletowskim dylematem „być albo nie być”. Decyzje o ripocie, nuklearnej, gdyż jakakolwiek inna byłaby bez znaczenia, musi podjąć amerykański prezydent. I wcale nie zdziwiłbym się, gdyby miał wahania, a w końcu z niej zrezygnował. Będąc na jego miejscu uczyniłbym to samo.

**- Jak to, nie dałby Pan rozkazu odpalenia rakiet na Rosję?**

- Nie dałbym. Atak taki nie wskrzesiłby już Polski z popiołów, zakładając jej kompletne, albo prawie kompletne zniszczenie, a decydując się na ripostę ściągnąłbym na USA zagładę. Proszę sobie uprzytomnić, że już w 34 minuty po odpaleniu amerykańskich rakiet w kierunku Rosji, na USA zacznie spadać deszcz jej rakiet, a raczej głowic nuklearnych. Deszcz ten może nawet rozpocząć się jeszcze wcześniej, jeśli będą to rakiety wystrzeliwane nie z silosów na Syberii, a z rosyjskich atomowych łodzi podwodnych zanurzonych w pobliżu brzegów USA.

I przed tymi rakietami nie ma jak dotąd, podkreślam to z całą mocą, żadnej obrony! Fakt zaś, że Rosja też nie obroni się przed amerykańskimi rakietami — jest żadną pociechą. W dzisiejszej dobie zdobycie się na wojnę nuklearną, to czysty obłąd!

**- Ale przecież mówi Pan, że Rosja może zaatakować Polskę bronią nuklearną, a to nie jest obłądem?**

- Nie wiem czy obłądem, ale z pewnością zbrodnią. Obłądem może nie być dlatego, że Rosja będzie liczyć na to, iż taki atak ujdzie jej bezkarnie.

Powracając do tematu, w samoobronie walczyć trzeba i USA to uczynią, ale wystawiać swój naród na pewną śmierć w obronie kogoś innego, to niestety zupełnie co innego.

A w ogóle, to co, w sytuacji zmasowanego ataku nuklearnego Rosji na Polskę, powinien zrobić amerykański prezydent? Jeśli zawaha się z nuklearną ripostą, rzecz bardziej niż możliwa, to może z kolei zwrócić się o opinię do członków Rady Bezpieczeństwa Narodowego, albo do Kongresu, czy wreszcie nawet do narodu. W takiej sytuacji jest więcej niż pewne, że stamtąd nie otrzyma najmniejszej zachęty do nuklearnej riposty w obronie

Polski! Wszyscy będą go błagać na kolanach, żeby tego nie robił, a sam, jeśli mu życie miłe, też tego nie zrobi...

**- A inne kraje NATO, jak też Izrael, Japonię, Koreę Południową — USA broniłyby przed agresją nuklearną?**

- Tego nie wiem, a zresztą co innego mówienie o takiej obronie, a co innego, gdy do niej dojdzie. Wszystko zależy od tego, kto konkretnie zaatakowałby te kraje. Jeśli Rosja, to mocno wątpię, żeby USA uderzyły wtedy na nią. USA zdobędą się na odwet, powtarzam to jeszcze raz, jeśli same byłyby zaatakowane przez Rosję i miały czas oraz możliwość to uczynić, rzecz wcale nie taka pewna w przypadku ataku z zaskoczenia. Ale jeśli z jakichś względów tak nie stałoby się, to USA pierwsze Rosji nie zaatakują, jestem o tym święcie przekonany i wcale nie uważam tego za ich tchórzostwo, a tylko za przejaw zdrowego rozsądku. Perspektywa „wyparowania” 265-milionowego narodu musi przerażać każdego prezydenta amerykańskiego i nie tylko prezydenta. Stąd też, jeśli jest jakaś możliwość uniknięcia czegoś podobnego, to prezydent, Pan i ja także, którzy tutaj żyją, będzie chwycił się każdej deski ratunku byle tylko uniknąć totalnego zniszczenia.

**- Czyli, mówiąc brutalnie, nie wierzy Pan, że USA, czy ktokolwiek inny w NATO, przyjdzie Polsce z pomocą na wypadek rosyjskiej agresji nuklearnej?**

- Oczywiście, że nie wierzę, a jeśli takie kraje dadzą Polsce takie gwarancje, to albo są one nieodpowiedzialne, gdyż nie wywiążą się z nich w razie potrzeby, albo wręcz życzą Polsce wszystkiego najgorszego! Rosja bowiem „sprawdzi” na Polsce wartość ich gwarancji.

Proszę Pana, z bronią masowej zagłady nie ma żartów!

W tej chwili, podchodząc do sprawy realistycznie, bezpieczeństwo zewnętrzne Polski nie ma żadnego znaczenia dla bezpieczeństwa zewnętrznego USA. Tak też zawsze zresztą było w historii. USA nie przyszły Polsce z pomocą w 1939 r., ani też nie przyszły z pomocą nikomu innemu. Nie weszły też do wojny z własnej woli, ale dlatego, że Japonia napadła na nie, a Niemcy i Włochy, wraz z ich sojusznikami, wypowiedzieli im wojnę, a nie odwrotnie. Potem, w czasach powojennych, USA i Zachód całkiem nieźle prosperowały, mając Polskę po przeciwnej stronie barykady.

Dlaczego więc dzisiaj USA i Zachód miałyby rzucać na szalę losu swoje istnienie, gdyż o istnienie tutaj chodzi, w imię zewnętrznego bezpieczeństwa Polski? Jaki miałyby w tym interes? Obronę demokracji, gospodarki wolnorynkowej, czy co jeszcze?

**- To co Pan proponuje w tej sytuacji?**

- Co? Uczciwe powiedzenie Polsce przez USA, że do NATO, to możemy was w końcu przyjąć, ale pod warunkiem, że Rosja nie sprzeciwi się temu, a jak powie „Niet!”, to naprawdę nie wiemy co wam powiedzieć... Jeśli Rosja będzie wam sprawiać jakieś kłopoty, w których możemy wam coś pomóc, to pomożemy. Kiedy jednak „przejedzie się” po was bronią masowej zagłady, to, sorry fellows!, zmówimy za was „Wieczny Odpoczynek” i to wszystko... Na naszą pomoc nie liczcie wtedy... Chyba, że rosyjski atak nuklearny będzie tylko symboliczny. A wtedy, narobimy w świecie wrzawy, w Radzie Bezpieczeństwa ONZ w pierwszym rzędzie, jakieś sankcje wobec napastnika zastosujemy, może z wyjątkiem zboża, gdyż ze względu na farmerów musimy go sprzedawać, ale na miłość Boską — nie żądajcie od nas samobójstwa!

Zresztą, kraje NATO tak to właściwie mówią po cichu Warszawie, radząc jej „załatwić” sobie zgodę Moskwy na przystąpienie do niego, a wtedy będzie OK! Ba, niektóre kraje zachodnie dziwią się nawet, że Polska upiera się z wejściem do NATO. Sądzą bowiem, że przystąpienie Polski do obu Unii europejskich, czemu Moskwa nie sprzeciwia się, byłoby zupełnie wystarczające. Po co więc upierać się jeszcze z NATO i tylko robić wszystkim kłopoty?

Na tym nie koniec. USA, jak wiadomo, mówią trzem krajom bałtyckim, że do NATO na razie nie można ich przyjąć. Wobec tego Szwecja i Finlandia mówią z kolei, że skoro tak, to one zablokują polskie członkostwo w Unii Europejskiej, jeśli Polska będzie przyjęta do NATO!

Proszę Pana, to wszystko zakrawa na niepoważną zabawę!

- Powróćmy jeszcze raz do tego tematu. Skoro USA mogłyby zaważyć się z przyjściem Polsce z pomocą w razie potrzeby, to jeszcze bardziej jest to prawdą z takimi zachodnimi mocarstwami nuklearnymi jak Francja i Anglia, czyż nie tak?

- Oczywiście, że tak. Już w poprzednich rozmowach mówiliśmy, że ich arsenał broni nuklearnej jest lilipuci w stosunku do rosyjskiego czy amerykańskiego. Anglia mówi też wyraźnie, że swoją broń nuklearną użyje jedynie do samoobrony, podobnie jak Francja, choć jakieś niejasne obietnice dawała kiedyś Niemcom Zachodnim, ale potem o tym „zapomniała”. A przecież z Niemcami ma ona stosunki o wiele ściślejsze niż z Polską!

- No tak, dajmy więc spokój zachodnim gwarancjom

zewnątrznego bezpieczeństwa Polski i przejdźmy do innych spraw.

**Czy wobec tego Polska może liczyć na USA jako podporę w swoim rozwoju gospodarczym?**

- Liczyć oczywiście może, ale USA nigdy takich zobowiązań nie podjęły i nic nie słychać o tym, że teraz ma być inaczej. Już w Części II naszych rozmów wspominałem o tym, że USA, jeszcze w 1989 r., mówiły Moskwie, że nie zaangażują się w przebudowę gospodarczą Polski. Myślę, że to stanowisko jest nadal aktualne. Oczywiście, w normalnych warunkach USA będą odgrywały ważną rolę jako partner handlowy Polski, czy inwestor kapitałów, ale jakiejś szczególnej roli odgrywać nie będą. Kosztowałyby ich to setki miliardów dolarów, a ponadto wiedzą dobrze w czyjej „strefie wpływów” znajduje się Polska. A to, że ma tanią i niezłą siłę roboczą — jeszcze nie wystarcza do aktywnego zaangażowania się w przebudowę jej gospodarki. Takich krajów jak Polska jest dziś w świecie więcej, z jeszcze tańszą i lepszą siłą roboczą, jak to ma miejsce z sąsiadującym z USA Meksykiem, nie mówiąc już o chińskiej sile roboczej, wobec której nikt nie może być konkurencyjny, a na horyzoncie jest jeszcze indonezyjska, filipińska i wiele innych.

**- A amerykańska Polonia nie może wpłynąć na zmianę stosunku władz USA do Polski, z bardziej pasywnego na bardziej aktywny?**

- O amerykańskiej Polonii wie Pan lepiej ode mnie i proszę sobie samemu odpowiedzieć na to pytanie. Może w innym miejscu wypowiem się jeszcze na polonijny temat, ale teraz nie mam na to najmniejszej ochoty.

**- Przejdźmy zatem do stosunków Polski z Niemcami, które nazywa Pan „głównym reprezentantem” Zachodu w Polsce. Dlaczego?**

- Wspominałem już, że Niemcy, pomijając sąsiedztwo, a jest to przecież jedyny kraj zachodni bezpośrednio graniczący z Polską, licząc obrót przygraniczny, mają prawie połowę udziału w jej handlu zagranicznym. Tak wysokiego udziału w obrotach PRL nie miał ongiś nawet ZSRR. Udział Niemiec w polskim handlu zagranicznym ponadto, przewyższa udział pozostałych krajów zachodnich razem wziętych! Polska eksportuje do Niemiec przeciętnie 15-krotnie więcej niż do USA. Prawda, w lokatach obcego kapitału w Polsce na pierwszym miejscu są jeszcze Amerykanie, mając ich dwa razy więcej od Niemców, ale to może bardzo szybko ulec zmianie.

Polska zatem już „wsiała” w Niemcy, a to dopiero początek...

Co więcej, jeśli wierzyć badaniom opinii publicznej, to Polacy, jeśli mieliby okazję zamiany swojego kraju ojczystego na obcy, to najchętniej zamieniliby go na Niemcy. W Polsce istnieje też niemiecka mniejszość etniczna, podobno 600-tysięczna, mająca nawet swoją reprezentację w Zgromadzeniu Narodowym.

**- Ale w Niemczech istnieje prawie 2-milionowa Polonia!**

- Rzeczywiście, istnieje, choć nie wiem czy aż tak liczna. Zorganizowała się co prawda ostatnio w Kongres Polonii Niemieckiej, ale przyszłość ma tam marną. Niemcy bowiem nie nastawiają się na wieloetniczny naród. Mówią też, że co innego oznacza Polonia w Niemczech, a co innego mniejszość niemiecka w Polsce. Ta pierwsza bowiem jest dobrowolną emigracją, a ta druga, to historyczna zasłoch...

**- Niemcy nie mają racji, ale zostawmy ten problem i kontynuujmy rozmowę na pozostałe tematy związane z naszym zachodnim sąsiadem.**

- Też tak myślę, gdyż sprawy etniczne nie są tu tematem najważniejszym w stosunkach polsko-niemieckich.

Ważniejszą jest natomiast sprawa, że fascynacja Polaków sąsiadami zza Odry wcale nie znajduje wzajemności. Ponad 80 procent Niemców uważa bowiem, że Polski nie należy przyjmować do Unii Europejskiej. A w ogóle, to Niemcy nie myślą za dobrze o Polakach.

Zresztą, nie to jest nawet najważniejsze.

**- A co może być ważniejsze od tego?**

- Co? Proszę Pana, USA mogą być dla Polski jakąś alternatywą wobec Rosji. Niemcy jednakże, choć od Rosji silniejsze gospodarczo, nie są dla Polski żadną alternatywą, z czego każdy Polak musi zdawać sobie sprawę. Niemcy mogą bowiem być dla Polski gospodarczą przeciwwagą Rosji, a nawet całej WNP, ale nie mogą być dla niej przeciwwagą wojskową, a to liczy się najbardziej. Niemcy nie są, ani też długo jeszcze nie będą, jeśli w ogóle, supermocarstwem wojskowym.

**- Czyli z góry wyklucza Pan, pomijając już wszystkie historyczne doświadczenia, jakiś sojusz polsko-niemiecki wymierzony przeciwko Rosji i pozostałym krajom WNP?**

- Tak jest, wykluczam. Taki sojusz jest teoretycznie możliwy z USA, a może kiedyś nawet z Chinami, ale nie z Niemcami. Z wojskowego punktu widzenia Niemcy są bowiem

kartem wobec Rosji.

Innymi słowy mówiąc, Polska nie może mieć jakiegokolwiek antyrosyjskiego sojuszu z Niemcami, a natomiast Rosja nie potrzebuje sojuszu z Polską przeciwko Niemcom. Sama bowiem może sobie z nimi łatwo poradzić. Rzecz jasna, Rosja nie potrzebuje też żadnego sojuszu z Niemcami przeciwko Polsce, gdyż jest to dla niej żaden przeciwnik. Niemcy, dopóki są w NATO, nie mogą z kolei mieć żadnego sojuszu z Rosją, ani przeciwko Polsce, ani przeciwko komu innemu.

To tyle na dzisiaj, a co będzie jutro — kto to wie?

Tak czy inaczej, faktem jest, że ze wszystkich krajów zachodnich, jakby je nie oprawiać w takie czy inne ramy instytucjonalne, jedynym możliwym sojusznikiem dla Polski są USA, ale z całą pewnością nie Niemcy, ani też Francja i Anglia.

W Europie Zachodniej Polska sojuszników już nie ma, zwłaszcza przeciwko Rosji. Są oni tylko za Oceanem, sprawa niezwykle skomplikowana w geopolitycznym położeniu Polski.

**- Nie wyklucza Pan możliwości, że kiedyś, ze względów politycznych, Rosja może wejść w antypolski sojusz z Niemcami?**

- Jeśli Niemcy opuszczą NATO, albo przestanie ono istnieć, to sojuszu takiego nie wykluczam, choć byłby on dla Rosji tylko wygodną etykietką. Wspólne bowiem działania z Niemcami przeciwko Polsce dałyby Rosji ogromne atuty polityczne, a ponadto mogłyby być pretekstem do „przerysowania” granic polskich, rzecz dziś mało prawdopodobna, ale przecież ciągle możliwa...

**- Wierzy Pan w agresję Niemiec przeciwko Polsce kiedyś w przyszłości?**

- W położeniu geopolitycznym Polski wszystko jest możliwe i nic nie jest niemożliwe.

Niemniej jednak, na razie w taką agresję nie wierzę. Prawda, Polska jest tak słaba, że Niemcy, jeśli tylko nikt nie przeszkadzałby im w agresji, mogłyby sobie z nią łatwiej poradzić niż w 1939 r. Ale na razie w to nie wierzę i już szkoda uzasadniać dlaczego, gdyż przyczyn takiej niewiary jest wiele.

Natomiast nie jest wykluczone, a tego naprawdę obawiam się, że Moskwa, chcąc wyrwać Niemcy z NATO, a może także z Unii Europejskiej, choć nie jest to takie proste i szybkie, poczyni jakieś obietnice pod ich adresem i to kosztem Polski. Dla Moskwy byłby to świetny interes, o czym ona wie doskonale, a problem polega tylko na tym — jak Niemcy zapatrywałyby się na taką sprawę. Nie zapominajmy, że Niemcy, po wchłonięciu b. NRD, to



już nie dawne Niemcy Zachodnie.

- **To może jednak lepiej, żeby Polska weszła do NATO...**

- Patrząc na sprawę tylko pod tym kątem widzenia, myślę identycznie. Jeśli bowiem jest w ogóle jakiś sens członkostwa Polski w NATO, to nie dlatego, że będzie ono jej bronić przed Rosją i WNP, ale właśnie przed... Niemcami. W NATO mówi się nawet, o czym Niemcy doskonale wiedzą, że mając USA „in”, czyli obecne w Sojuszu, Niemcy są tym samym „down”, czyli skępowane w swojej swobodzie ruchów. Przecież nawet nie mają własnego Sztabu Generalnego, podczas gdy Bundeswehra jest bardzo ściśle zintegrowana z innymi armiami NATO, amerykańską zwłaszcza.

W każdym razie, jeśli Polska weszłaby do NATO, to wtedy Niemcy nie mogą z niego łatwo wystąpić, a ponadto Amerykanie mogą mieć pretekst do zostawienia części swoich wojsk, wyposażonych w broń nuklearną, na niemieckim terytorium. Skoro bowiem wojsk tych miałyby nie być w Polsce, to muszą być gdzieś w jej pobliżu.

- **Pan sądzi, że Rosja tak właśnie patrzy na sprawę polskiego członkostwa w NATO?**

- Myślę, że tak, choć o tym głośno nie mówi. Podobnie, tak myślę, widzą to Niemcy, ale też milczą.

- **Wierzy Pan zatem w oś Moskwa-Berlin w przyszłości?**

- Już mówiłem, że w dalszej przyszłości wszystko jest możliwe, ale w tej najbliższej chyba jeszcze nie. A skoro już mowa o Berlinie, to Niemcy swoją stolicę przeniosą tam z Bonn w 2000 roku. Usadowiona tylko siedemdziesiąt kilometrów od granicy polskiej, będzie ona z pewnością mieć wpływ na kształtowanie się nowego niemieckiego „Weltanschauung”, spojrzenia na świat.

Na dziś jednakże, Moskwie potrzebna jest tylko neutralizacja Niemiec, gdyż będzie się ona równać końcu NATO, a także Unii Europejskiej. Ewentualna oś natomiast, to sprawa dalszej przyszłości. Warto przypomnieć w tym miejscu, że „żelazny” kanclerz Bismarck próbował ongiś tworzyć „Ligę Trzech Cesarzy”, niemieckiego, austriackiego i rosyjskiego. Nie udało mu się, gdyż Austria i Rosja miały wtedy sprzeczne interesy na Bałkanach, co stało się nawet bezpośrednim powodem I wojny światowej.

Kiedyś więc, bismarckowskie marzenia mogą się sprawdzić, choć oczywiście bez austriackiego partnera. Niemcy i Rosja, to naprawdę naturalni partnerzy. Niemcom potrzebny jest olbrzymi

rezewuar paliw i surowców, a taki istnieje w Rosji i innych krajach WNP. Potrzebny im też wielki rynek zbytu, który też tam jest. Rosji i innym krajom WNP z kolei potrzebny jest niemiecki kapitał, technologia i organizacja.

- **Jeśli tak istotnie miałyby być, to co wtedy z Polską?**

- Zmartwienie to nie jest co prawda sprawą już na jutro, a ponadto nieprzewidziany bieg wydarzeń w świecie może takie prognozy całkowicie podważyć, ale los Polski byłby wtedy nie do pozazdroszczenia. Nie musi to być wcale żaden nowy pakt Ribbentrop-Mołotow, wspólny najazd na Polskę, połączony z okupacją kraju i eksterminacją ludności. Ich miejsce mogą zająć jakieś inne i trudne do przewidzenia alternatywne rozwiązania, w wyniku których Niemcy, w taki czy inny sposób, mogłyby odzyskać wszystkie, albo część „wschodnich terytoriów”, z pomocą Moskwy oczywiście.

- **Czy Moskwa byłaby naprawdę zainteresowana w czymś takim?**

- Na to pytanie nie można odpowiedzieć ani twierdząco, ani przecząco. Jeśli Moskwa nie byłaby zainteresowana, to nie za darmo dla Polski...

- **Czy może Pan być bardziej konkretny?**

- Myślę, że w zamian za zachowanie integralności terytorialnej, Polska musiałaby przyłączyć się do WNP, podpisać Układ Taszkiński, albo nawet przyłączyć się do Federacji Rosyjskiej...

- **A co na to powiedziałyby USA, Europa Zachodnia, poza Niemcami, lub z nimi razem?**

- Wszystko zależeć będzie od tego, jaka sytuacja będzie u nich samych w tym czasie. Spekulować na ten temat można bowiem bez końca.

Myślę jednak, że „polska przeprowadzka na Wschód”, nie wywołałaby na Zachodzie większego wrażenia. Ostatecznie Polska była Wschodem przez prawie pół wieku i Zachód wcale nie ucierpiał z tego powodu. I jeśli Wschód nie będzie zagrażał Zachodowi, to przełknie on ową „przeprowadzkę” bez specjalnego żalu...

- **Wojny o taką „przeprowadzkę” nie będzie?**

- Oczywiście, że nie będzie. Może dojdzie co najwyżej do „zimnej wojny”, choć trudno powiedzieć czy w dawnej postaci, gdyż tamta była w swojej treści ideologiczna, a nowa może mieć jakąś inną „podkładkę”, ale to wszystko.

- **Zalóżmy jednak, że tak źle nie będzie. Gdzież więc ma Polska na Zachodzie prawdziwych przyjaciół?**

- Gdzie? No cóż, wiele zależy od tego co rozumiemy pod określeniem „przyjaciół”, a zwłaszcza „prawdziwych”. Jak Pan doskonale wie, polskie przysłowie mówi, że „prawdziwych przyjaciół poznajemy w biedzie”. Trzeba by więc najpierw znaleźć się w biedzie, żeby poznać prawdziwych przyjaciół...

Co do przyjaciół zresztą, to z formalnego punktu widzenia Polska ma ich na Zachodzie, ale co innego przyjaciół, a co innego sojusznik. Anglicy mówią, że nie mają przyjaciół, tylko interesy.

W tym i rzecz właśnie. Nie ważne bowiem kto na Zachodzie ma sentymenty do Polski, ale jakie ma w niej interesy? Sympatie są chwalebne, ale dla nich nikt nie będzie poświęcał się dla Polski. Musi mieć raczej żywotne interesy, żeby poświęcać się dla niej.

I co to mogą być za „żywotne interesy” poszczególnych krajów zachodnich w Polsce?

USA, z czysto wojskowego punktu widzenia, nie mają żywotnych interesów w Polsce. Oczywiście, jakby miały szansę umocnić w Polsce swoje wpływy, to chętnie to uczynią, ale żyć bez tego mogą i to całkiem dobrze. Polskie terytorium nie stanowi też dla nich żadnej groźby i to w najgorszym wypadku, a w najlepszym jest bez znaczenia. Bez znaczenia są również wszystkie inne „Polish opportunities” niewojskowej natury. Nawet gdyby USA zwiększyły swój eksport do Polski 10-krotnie, to i tak będzie to tylko 1/15 ich eksportu do Japonii...

**- Powróćmy w takim razie do Niemiec. Przecież jeszcze nie tak dawno temu mówiły, że nie chcą być „granicznym krajem” Zachodu, że wołałyby mieć Polskę jako jego integralną część, a czy teraz już im to z głowy wywiało?**

- Istotnie, tak mówiły. Ale co z tego? Jutro mogą przecież mówić inaczej, albo po prostu nic. A w ogóle, to może jeszcze takie mówienie miałoby dla nich sens, gdyby miały w Polsce wolną rękę działania, ale jej nie mają. Wiedzą przecież lepiej od Polaków, że Polska jest w moskiewskiej „strefie zainteresowania”, a to wystarcza do ostudzenia ich zamiarów. Na konfrontacji z Rosją wychodzili dotąd źle i na następne chęci już nie mają. Wiedzą natomiast bardzo dobrze, że jeśli mają jeszcze coś do zyskania, to raczej trzymając z Rosją, a nie przeciwko niej. Ona przecież pozwoliła im zjednoczyć się w 1871 r., ona nie uznawała na równi z nimi Traktatu Wersalskiego, ona pomogła im w rozbiórce Polski, jak też ona zjednoczyła je w latach 1989-1990.

Po co więc Niemcy miałyby teraz „drzeć koty” z Rosją? Atakować ich nie zamierza, żadnego obcego ustroju narzucić im

nie chce, a co najwyżej tylko ich szpieguje, ale do tego powojenne Niemcy są już od lat przyzwyczajone i mogą z tym jakoś żyć...

Powróćmy jednak do przyjaciół polskich na Zachodzie, o co Pan pyta.

O tym, że przyjaciele ci nie są sojusznikami — już wiemy. Ale czy są naprawdę przyjaciółmi? Z traktatowego punktu widzenia nawet tak to jest. W 1991 r. Polska podpisała z Anglią, Belgią i Szwajcarią tzw. deklaracje o współpracy. Z Francją, w kwietniu tegoż roku, zawarła nawet układ o „przyjaźni i solidarności”. Z Niemcami z kolei, w czerwcu 1991 r., zawarła układ o „dobrym sąsiedztwie i przyjaznej współpracy”, a z Włochami, w październiku 1991 r. i Hiszpanią w październiku 1992 r., zawarła układy „o przyjaźni i współpracy”. Z USA układów tego rodzaju Polska co prawda nie ma, ale tylko dlatego, że nie szafują one łatwo układami o deklaratywnej treści.

Formalnie więc, „przyjaźń kwitnie”, istnieje nawet „trójkąt waimarski”, czyli polsko-niemiecko-francuski, choć już zapomniany, a więc nie jest tak źle!

**- Pan nie traktuje poważnie takich przyjaźni?**

- Ależ skądże! Traktuję je poważnie, gdyż zawsze lepiej jest mieć nawet papierowe przyjaźnie, niż żadne. Ale droga od nich do „prawdziwych przyjaźni” jest jeszcze bardzo długa, nie mówiąc już o drodze do sojuszów.

Zresztą, powiem Panu szczerze, że jakby komuś naprawdę zależało na Polsce, takim USA na przykład, to wcale nie musiałyby wciągać Polski do NATO, czy nawet podpisywać z nią dwustronnych porozumień sojuszniczych. Kiedyś w przeszłości, Austria, Finlandia, Irlandia i Szwecja nie były ani w Unii Europejskiej, ani w NATO, gdzie zresztą nie ma ich tam do dzisiaj, ale wiadomo było, że były one pod „cichym parasolem” nuklearnym NATO. Na papierze nic nie było, ale wszyscy o tym wiedzieli. Z Polską tak nigdy nie było, nie jest i nie wiem czy kiedykolwiek będzie.

**- Czy wobec tego Polska ma postawić przysłowiowy krzyżyk na Zachodzie?**

- Polska nie ma tu nic do stawiania. Najpierw trzeba mieć pewność, czy to aby Zachód nie postawił go już dawno temu na Polsce...

**- Ano właśnie. Skończmy więc na tym i następną rozmowę poświęćmy stosunkom Polski z Rosją i innymi krajami WNP.**

- Dobrze, jest o czym mówić.